

Pod Czyżewem orzą sochami, tragedia w wiosce Ołtarze,
nabór do Szkoły Podoficerskiej i absolwenci Szkoły Podchorążych w Ostrowi,
w Węgrowie nie czytają gazet, tylko w „wała” grają,
nawet wyklinani przez biskupa, towarzyszą kapłanowi z Ostrowi w jego ostatniej drodze

Wstępem, przypisami i ilustracjami opatrzył Jerzy Madzelan.

Ilustracja wyróżniająca opracowanie:

Damy w kapeluszach, fotografia wykonana w początkach XX w. przez W. Szpikowskiego,
właściciela zakładów fotograficznych w Ostrowi i Komorowie.

Źródło: Portal aukcyjny Allegro.pl.

Pod Czyżewem wciąż orzą sochami, a patrząc na ubóstwo rolników i ich niechęć do wszelkich zmian, ksiądz z Czyżewa dochodzi do smutnego wniosku, że: „Sochą orał ojciec, sochą orze syn i sochą będzie orał wnuk”. Nie wspomina jednak o prapraprawnukach, może więc coś się zmieniło w tej sprawie.

Woda pochłoneła kolejną ofiarę, tym razem chłopczyka z nadbużańskiej wioski Ołtarze.

Polscy żołnierze, którzy w lipcu 1917 r. złożyli przysięgę na wierność Cesarstwu Niemieckiemu, weszli w skład Polskiej Siły Zbrojnej (niem. *Polnische Wehrmacht*). Kadre oficerską dla tej formacji miała zapewnić utworzona już w sierpniu Szkoła Podchorążych w ówczesnym Ostrowiu Łomżyńskim (ob. Ostrów Mazowiecka). Wkrótce utworzono tam także Szkołę Podoficerską. Zamieszczamy szczegółową informację o naborze do tej ostatniej szkoły oraz listę absolwentów Szkoły Podchorążych z lipca 1918 r.¹

Wiemy, wiemy, zapowiadaliśmy, że granica naszych zainteresowań przebiega na południu regionu, gdzieś tak w okolicach Stoczka, ale nie jest to granica ścisła, a żaden słup przez nas wkopany, jeszcze tam nie stoi. Co jakiś czas naruszamy więc monopol choćby węgrowskich pasjonatów historii, ośmielając się wspomnieć o przeszłości ich miasta. Pewne mało istotne błędy popełnione przez redakcję „Gazety Podlaskiej” sprawiły, że wraz z informacjami z zamierzchłej przeszłości okolic Sterdyni, zamieściliśmy ostatnio artykuł o Węgrowie, autorstwa pana posługującego się wielce niefortunnym pseudonimem *Esbe*. Inkryminowany dżentelmen pisze w sposób ciekawy i dowcipny, nic zatem dziwnego, że na naszym redakcyjnym biurku pojawił się stosik listów z prośbą o kolejne artykuły pióra – za przeproszeniem – *Esbe*. Dzisiaj zatem artykuł drugi.

W Ostrowi zmarł proboszcz tamtejszej parafii ks. Adam Koszutowski. Jego śmierć pogrzyżała w smutku wszystkich, niezależnie od wyznania i poglądów politycznych. W uroczystościach funeralnych udział wzięli także członkowie PSL „Wyzwolenie”, lewicowej, wyklinanej przez kler partii chłopskiej.

¹¹ Kadra tej szkoły zapisała się złotymi zgłoskami w dniach odzyskania niepodległości. O jednym z tych chwalebnych wydarzeń można przeczytać [TUTAJ](#).

Z radością informujemy, że naszemu ulubieńcowi, jedenastoletniemu Rafałkowi przeszedł nieco buntowniczy nastrój i nadesłał list nadający się do zacytowania w całości:

Droga Redakcjo,

poszukując drogi, jaką mógłbym obrać w życiu, rozważam wybór kariery wziętego artysty, dajmy na to malarza. Jest to zawód posiadający liczne wady, ale i zalety. Do stron ujemnych zaliczam konieczność spożywania znacznych ilości absyntu, bo jest to trunek, mało, że kosztowny, to jeszcze podobno szkodliwy. Za największy pozytywny aspekt tej formy zarobkowania uznaję nienormowany czas pracy.

Z pewnością mam talent, choć pani od plastyki zdaje się go nie dostrzegać. Być może Monika i Zośka, bezustannie podlizujące się plastyczkę, rzeczywiście lepiej oddają kształty ludzi i koni, ale przecież od wiernego odmalowywania rzeczywistości mamy aparaty fotograficzne, sztuka zaś winna inspirować, a ja swoje malarstwo, np. mistrzowskie odwzorowywanie nadrzecznych oparów, uważam za bardzo intrygujące. Fakt, że jestem niedoceniany w domu i w szkole, tylko utwierdza mnie w przekonaniu, że mam talent, bo przecież każdy wybitny malarz był początkowo nierozumiany, niedoceniany. Lizuski Monika i Zośka do końca życia będą malowały liche pejzażyki, podczas gdy ja stawiam na nowatorstwo.

W wyborze drogi światowej kariery wielką rolę odegrały dwie ostatnie szkolne wycieczki do wielkiego miasta. Jednym z punktów tej pierwszej było zwiedzanie Muzeum Narodowego, na wieść o czym, większość klasy zareagowała chóralnym – Nuuuda! Cóż, utwierdza to mnie w przekonaniu, że za kolegów i koleżanki mam w większości prymitywnych troglodytów, których opisać można trzema słowami – odrażający, brudni, źli². Im prędzej opuszczę to miejsce, tym lepiej dla nauki, kultury, sztuki i ogólnie świata.

W Muzeum Narodowym panował straszliwy tłok i hałas spowodowany faktem, że przybytek ten nawiedziło więcej podobnych do naszej wycieczek. Niesamowity tłok panował także na ścianach – obraz wisiał dosłownie przy obrazie i nikt nie zdołałby tam upchnąć choćby miniaturowej. Wszędzie, gdzie tylko spojrzeć jakies krajobrazy, bitwy, ładne i mniej ładne panie (czasami rozebrane... hi, hi, hi), weselsi i smutniejsi panowie. Nie wróżę zatem przyszłości Monice i Zośce, niech sobie malują, co chcą, ale nikt od nich nie kupi żadnego obrazu, bo po prostu brak jest miejsca na ich powieszenie, a z podsłuchanej rozmowy pracownic Muzeum wynika, że w szwach pękają także magazyny.

Przed niektórymi dziełami stały grupki osób, które wpatrywały się w obraz niczym zahipnotyzowane. Ostatnio mieliśmy zajęcia z pierwszej pomocy, więc zapytałem plastyczkę, czy ludziom tym nic nie dolega, czy nie wymagają pomocy, ale odpowiedziała, że to kontemplujący arcydzieła koneserzy sztuki. Postanowiłem odłączyć się od grupy, by przynajmniej przez moment poczuć się koneserem. Na chybił trafił wybrałem pierwsze z brzegu dzieło, a był nim przypadkowo³ portret niekompletnie ubranej pani. Razem ze mną stało kilku innych panów i z wielką pasją kontemplowali to dzieło. Niestety, czułem się jak prawdziwy ekspert ledwie przez dwie czy trzy minuty, bo poczułem, że moją rękę szarpie czerwona na

² *Odrażający, brudni, źli* – to tytuł włoskiego filmu, który w roku 1976 wyreżyserował Ettore Scola, ale redakcja nie sądzi, aby Rafałek z dziełem tym się zapoznał [przyp. redakcji].

³ Redakcja śmie wątpić w przypadek [przyp. redakcji].

twarzy plastyczka. Chyba miała ochotę mnie skrzyczeć, ale stojąca w pobliżu strażniczka, przyłożyła do ust palec, dając do zrozumienia, by milczała.

Na szczęście, plastyczka szybko o wszystkim zapomniała. Gdy odeszła od grupy, by mnie szukać, to prawie cała grupa, gdzieś się zapodziała. W wyznaczonym miejscu pozostały tylko... tak zgadliście, wazeliniarki Monika i Zośka. Plastyczka pozostawiła mnie pod opieką strażnika (czyli w pewnym sensie bezprawnie mnie uwięzła), a wraz z potakiwaczkami poszła szukać pozostałych podopiecznych. Gdy wszystkich zebrała do kupy, to okazało się, że gdzieś w przepastnych salach pogubiły się sługuski – zostały odnalezione dopiero z pomocą kamer ochrony. W efekcie nieprzemyślanych działań plastyczki, zwiedzanie trwało trzy godziny dłużej niż zaplanowano. Udaliśmy się do autokaru i już z daleka słyszeliśmy krzyki kierowcy, który klócił się z pracownikami parkingu, nakazującymi wyjazd z tego zatłoczonego miejsca, gdyż czas postoju był ściśle połączony z planowanym czasem zwiedzania. Kierowca spojrzał na nas czerwony na twarzy i nie wiedząc czemu, wyszeptał – Już nigdy. Gdy zajęliśmy miejsca w autokarze i zostaliśmy policzeni, to teraz plastyczka spojrzała na nas całą pąsowa na twarzy i wycodziła przez zęby – Już nigdy. Niby kobieta wykształcona, a nie powie czegoś własnymi słowami, tylko powtarza słowa kierowcy.

Może faktycznie, kierowca i plastyczka spełniliby swe obietnice, ale nasza szkoła bierze udział w akcji „Wiejska szkoła za pan brat ze sztuką” (czy jakoś tak), a nasz dyrektor marzy o zdobyciu związanej z tą akcją statuetki. A zatem chciała, czy nie chciała, to nasza szkolna artystka musiała zabrać nas ponownie na zwiedzanie muzeów. Większość klasy zareagowała na tę wiadomość dokładnie tak jak poprzednio, ale ja cieszyłem się z możliwości ponownej kontemplacji wiadomego obrazu. Tym razem mieliśmy jednak odwiedzić Muzeum Sztuki Nowoczesnej, a ja akurat w tego rodzaju sztuce niezbyt gustuję, a raczej nie wiem, o co jej twórcom chodzi.

Gdy dojeżdżaliśmy do miasta, to nasza pani pokazywała nam mijane galerie nowoczesnej sztuki. Wyjaśniła, że to były fabryki i warsztaty, które poupadały i na ich miejscu powstały właśnie galerie. Według niej korzyść z tego była podwójna, bo po pierwsze fabryki już nie zatrzymywały powietrza, ludzie zaś nabierali oglądy, obcując ze sztuką. Dodała, że może w związku z nową polityką rolną także i na wsi wielu gospodarzy porzuci rolnictwo, by w stodołach zakładać galerie. Po czym popatrzyła na nas chłopaków znacząco i oznajmiła:

– Kto wie, może dzięki temu i wy nauczycie się opuszczać deskę klozetową i trafiać do pisuarów.

Chłopcy wybuchli śmiechem, bo wiedzieli, że to niemożliwe, ale ja poczułem się urażony, gdyż zawsze opuszczam i trafiam.

To muzeum było zupełnie inne od poprzedniego, a mianowicie panowała tam przeraźliwa pustka. Na środku pierwszej sali, której powierzchnia odpowiadała powierzchni naszej sali gimnastycznej, leżała na postumencie wielka kamienna kula... i to było wszystko. W kolejnej sali wisiał u sufitu samotny metalowy ostrosłup, tyle że odwrotnie, bo wierzchołkiem do dołu. Po przejściu do kolejnego pomieszczenia zobaczyliśmy w jego kącie wielki trójkąt, ale w następnym wisiały na ścianach, aż dwa obrazy. Jeden prezentował różnokolorowe, ukazane na żółtym tle kropki, na drugim zaś kropki zostały zastąpione kwadratami – też różnokolorowymi. W innej z sal stała samotna rzeźba nagiej kobiety, ale dziwna jakaś była... taka powykręcana, więc nie miałem ochoty na jej kontemplację.

Pani plastyczka spoglądała na mnie z uznaniem, bo tylko ja wykazywałem zainteresowanie prezentowanymi dziełami, natomiast wyraźnie zde gustowane Monika i Zośka, wciąż tylko wzruszały ramionami. Opuściłem tę świątynię sztuki odmieniony – to jest mój cel, moje spełnienie, moja życiowa droga. Zapelnienie tych ścian dziełami sztuki zajmie przecież lata i ktoś musi je stworzyć, a przecież nie zrobią tego takie beztalencia jak Monika i Zośka!

Poprosiłem plastyczkę, abyśmy zatrzymali się przed jedną z mijanych galerii, pod pozorem, że wciąż czuję niedosyt tej niezwyklej sztuki. Zachwycona nauczycielka przystała na moją prośbę. Zostawiła resztę klasy pod opieką rozszluszczanego kierowcy i tylko ze mną wyszła z autokaru celem napawania się sztuką. Tak naprawdę, to chodziło mi o sprawdzenie cen nowoczesnych dzieł. Trójkąt, podobny do tego, jaki widzieliśmy w Muzeum, tyle że znacznie mniejszy wyceniono na 28 tysięcy złotych. Obrazów z kropkami i kwadratami nie było, ale za ramy obite kompletnie białym płótnem żądano 16 tysięcy. Więcej cen nie podaję, gdyż nie chcę zanudzać czytelników.

Wróciliśmy do autokaru, a gdy przechodziłem koło Moniki i Zośki, to te wariatki syknęły – Lizus. A niech sobie syczą zmiłki, ile zechcą. One nic nie znaczą, a ja już mam plan na życie i to nie byle jakie, bo dostanie, beztróskie, wesole.

Następnego dnia, a była to akurat niedziela, rodzice wyjechali w odwiedzinę do znajomych, ja zaś zostałem sam na gospodarstwie. Zabrałem z bielizniarki dwa prześcieradła, po czym udałem się do garażu, gdzie tata ma swój warsztacik, a w kącie leżą listwy jak ulał na ramy obrazu. Chodziło mi o sprawdzenie, ile zdołam dziennie zbić ram, po czym obić je płótnem. Rzecz jasna jako początkującemu artyście nie szło mi zbyt składnie, ale przez cztery godziny wykonałem dwa dzieła. A ile wykonam, gdy dojdę do wprawy? Nie jestem jednak zachłanny, wystarczy mi zainkasowanie dzień w dzień 16 tysięcy złotych.

Konkurencja jednak nie śpi. Zastanawiam się, czy nie rzucić szkoły i natychmiast nie zabrać się do artystycznej roboty? Proszę kochaną Redakcję o radę.

Drogi Rafałku, Ty się ucz, a my rzucamy wszystko, by poświęcić się sztuce.



LISTY DO GAZETY ŚWIĄTECZNEJ

Z okolic Czyżewa w pow. ostrowskim (gub. łomżyńskiej)

Urodzaje – Późne zbiory – Grunta – Gospodarstwo po dworach – Jak to się orze sochą

Bóg pobłogosławił w tym roku nasze strony dobrym urodzajem. Zarówno oziminy, jak i jarzyny były bardzo piękne. Na wiosnę częste deszcze zraszały pozasiewane niwy, nie było ani jednego tygodnia, żeby deszcz nie pokropił. Cieszyli się gospodarze i dziękowali Bogu za ten dar. Chociaż przed dwu laty w wielu miejscach grad duże szkody poczynił, ludziska już nie pamiętają tego, bo w tym roku dobry Bóg w czwórnasób ich wynagrodził.

Zbiór żyta i pszenicy był daleko pomyślniejszy, niż innych lat, chociaż sprzęt odbył się o parę tygodni później, niż w stronach płockich. Tam na św. Jakub już rozpoczyna się zbiór, czyli cięcie pszenicy, a żyta o tej porze nikt ani snopka w polu nie zobaczy. Tymczasem u nas w okolicach Czyżewa, na św. Jakub ledwo gdzieniegdzie wychodzą z sierpem, a w tym roku dopiero 28 sierpnia skończono zbiór pszenicy i to nie wszędzie. Owsa, grochy, jęczmiona przy końcu sierpnia dopiero dojrzewały, a zupełny zbiór jarzyny nastąpił 7 września.

Grunta w tych stronach są po większej części bieliczaste, gdzieniegdzie tylko można zobaczyć czarnoziem albo glinę prawdziwą. Do najlepszych pod względem gruntu można zaliczyć parafie; bogucką, czyżewską, rosochacką i dąbrowską. W innych miejscowościach, a zwłaszcza w okolicach nadbużańskich, grunta są piaszczyste.

Dworów tu niedużo, ale właściciele ich mają się nieźle, bo wiele dokładają starań około ulepszenia gospodarstwa, które tu o wiele wyżej stoi, niż w stronach płockich. Szczególniej daje się to widzieć w Helenowie, Gostkowie, Dobkach, Rusi, Koskach i w niektórych wioskach szlachty zaściankowej.

Po większej części gospodarze drobni jednak orzą jeszcze sochami. Ach, jakie to męczące narzędzie! Woły muszą chodzić w tej płużycy nadzwyczaj szeroko, a jeden z nich ciągle po roli bucha, karkami zaś tak wciąż kręca, jak gdyby miały poodtłaczane. Biedne woliska! A jeszcze biedniejsi rolnicy, oracze. Ubóstwo bowiem widocznie nie pozwala im wziąć się do pług. Sochą orał ojciec, sochą orze syn i sochą będzie orał wnuk, bo chociaż to narzędzie niedogodne, ale za to bardzo tanie – tylko okucie parę złotych kosztuje, a drzewo to każdy sobie wyrobi. Dałby to Bóg, aby gospodarze dali się przekonać, iż tylko ulepszenie gospodarstwa może podnieść ich dobrobyt.

Ks. B. H. Ś.

[„Echa Płockie i Łomżyńskie”, nr 41 z 24 maja 1899 r.]

Nur. We wsi szlacheckiej Ołtarze nad Bugiem, chłopczyzna lat 5-ciu Władysław Ołtarzewski, nudząc się w domu, wyszedł w pole do siostry pasącej gęsi. Zbliżywszy się do strumienia, za którym dzieci z innej wsi strzegły również gęsi, usiłował przejść przez wodę i porwany bystrym prądem utonął. Po długich poszukiwaniach znaleziono zwłoki maleństwa, trzymającego w zaciśniętych rączkach jakiś patyk, wystający z wody. Żal nieszczęśliwych rodziców trudno wypowiedzieć. Kiedyż nareszcie doczekamy się ochronek?

[„Wspólna Praca”, nr 1 styczeń, luty, marzec 1918 r.]

Szkoła podoficerska

Celem zabezpieczenia Wojsku Polskiemu potrzebnej ilości podoficerów przyjmuje Inspektorat Szkół Piechoty Wojsk Polskich podania osób cywilnych, chcących się oddać zawodowi oficerskiemu w charakterze podoficerów do istniejącej od 4 miesięcy Szkoły Podoficerskiej.

Do szkoły podoficerskiej będą przyjmowane osoby cywilne w wieku lat 18 do 25, o charakterze nieposzlakowanym, z ukończoną szkołą ludową, miejską lub dwoma klasami szkoły średniej.

Kandydaci muszą się zobowiązać do 6-cio letniej służby wojskowej, licząc od dnia przyjęcia do szkoły.

Jest przewidziane staranie zawarowania podoficerom, którzy odbywali nienaganą 6-cio letnią służbę wojskową, odpowiadającej ich uzdolnieniu służby cywilnej państwowej.

Podania należy wносить do Inspektoratu Szkół Piechoty, Warszawa, Krakowskie Przedmieście Nr 36 III piętro, w godzinach od 10 do 12 i od 4 do 6 oraz do Głównych Urzędów Zaciągu do Wojska Polskiego.

Do podań należy dołączyć: 1) Metrykę urodzenia względnie inny dokument stwierdzający datę i miejsce urodzenia. 2) Świadczenie o niekaralności wystawione przez władzę miejscową (Milicję, Magistrat, Urząd Gminny itp.). 3) Świadczenie szkolne. 4) Zalegalizowane pozwolenie rodziców względnie opiekunów dla tych kandydatów, którzy nie ukończyli 21 roku życia 5) Własnoręcznie napisany życiorys 6) Zobowiązanie do 6-cio letniej służby w wojsku.

Po odpowiednim ukończeniu Szkoły Podoficerskiej otrzyma uczeń szkoły stopień podoficerski. Uczniom, którzy nie odpowiedzą wymaganiom szkoły, zostanie czas przebywania w szkole policzonym do służby wojskowej.

Termin wnoszenia podań do dnia 10 lutego 1918 r. Przegląd wojskowo-lekarski odbędzie się w dniach 15 do 18 lutego, po czym przyjęci odjadą do Szkoły Podoficerskiej w Ostrowiu.

Warszawa dnia 17 stycznia 1918 roku.

podp. Leon Berbecki, Podpułkownik i Inspektor Szkół Piechoty W. P.

[„Kurjer Warszawski”, nr 207 (wydanie poranne) z 29 lipca 1918 r.]

D. 28-go bm. odbył się w Ostrowiu uroczysty akt zamknięcia roku szkolnego w szkole podchorążych. Akt poprzedziła msza polowa, odprawiona przez ks. kapelana Kwapińskiego, który w podniosłym przemówieniu, skierowanym do absolwentów zobrazował zadania i obowiązki żołnierza polskiego jako obrońcy i obywatela kraju, w końcu zaś udzielił z upoważnienia mons. Ratti'ego wojskowym szkołom polskim błogosławieństwa papieskiego. Na nabożeństwie, podczas którego chór szkoły podchorążych odśpiewał mszę Gounoda, byli obecni: jen. Barth z adiutantem kap. Iwanowskim; inspektor szkół wojskowych pułk. Berbecki; brygadier Minkiewicz jako zastępca komisji wojskowej i brygadier Januszajtys; dowódcy pułków I-ej brygady majorowie Udałowski i Zarzycki; kierownik szkoły podchorążych major Kukiel z wykładającymi oficerami; kierownik szkoły podoficerskiej kap. Bobrowski z komendantami kompanii i inni.

Po uroczystości kościelnej zakończonej hymnem „Boże coś Polskę”, odczytał kap. Iwanowski listę mianowanych 73 podchorążych, którzy ukończyli szkołę, po czym odbyła się przy dźwiękach orkiestry 1-ej brygady defilada wojskowa.



Komorów, 30 stycznia 1918, grupa podchorążych, fotografia z rodzinnego albumu.

Źródło: Wlodo, CC BY-SA 4.0 <<https://creativecommons.org/licenses/by-sa/4.0/>>, via Wikimedia Commons.

Szkołę ukończyli: Aleksander Pniewski, Antoni Wieniawski, Zygmunt Jagodziński, Włodzimierz Skrzyński, Zbigniew Dembiński, Jan Łada, Jan Szymonowicz, Jan Walicki (sierżant), Andrzej Kołodziejczyk, Józef Klepaczek, Wyczesław Tomasiak, Bronisław Kwaskowski, Leszek Wernic, Adam Lewicki, Mieczysław Słowikowski, Władysław Frontczak, Stanisław Paprocki, Mieczysław Saraszewski, Jan Sikorski, Feliks Drzewiecki, Czesław Sadkowski, Henryk Przyborowski, hr. Mikołaj Jezierski, Mieczysław Szczygielski, Tadeusz Sokolnicki, Zygmunt Krauze, Edward Januszkiewicz, Adolf Cyrański, Jan Francki, Aleksander Ostrowski, Stanisław Szymański, Tadeusz Roman, Roman Mańkowski, Antoni Organ (sierżant), Zygmunt Wesołowski, Jan Strusiński, Jerzy Majewski, Bronisław Czermak (sierżant), Marian Janowski, Franciszek Wysłouch, Bernard Fuksiewicz, Apolinary Busiakiewicz, Tadeusz Cieślewski, Władysław Weber-Kościesza, Jerzy Pokorski, Aleksander Wojdyno, Franciszek Masłocha, Tadeusz Frytz, Stefan Lewicki, Stanisław Karnibad, Kazimierz Komornicki, Ignacy Sęk (sierżant), Bohdan Jeżewski, Waław Sypniewski, Artur Bolman, Witold Makowski, Mieczysław Sokolski-Krongold, Stefan Krzyżanowski, Stanisław Gradewitz, Bolesław Dąbrowski, Ludwik Iskierko, Kazimierz Pruszkowski, Daniel Winiarski, Stefan Motz, Adolf Ciesielski, Stanisław Kurnatowski, Stanisław Kosiński, Stefan Hernik, Stanisław Płoskiewicz, Edward Gaworski, Edward Kluczyński, Jarosław Ciechanowski i Stanisław Roźniakowski (WAT).

[„Gazeta Podlaska”, nr 4 z 28 stycznia 1923 r.]

LISTY Z WĘGROWA

II

Charakterystycznym jest dla przeżywanego chwili dzisiejszej, że głupstwo, nietakt, kabotyństwo, paskarstwo, bezmyślność indywidualna czy zbiorowa, nikogo nie dziwi, nikogo nie przeraża, nikt nad tymi smutnymi objawami życia naszego głębiej się nie zastanawia i z łatwością godną lepszej sprawy, przechodzi się u nas nad bóleczkami życia codziennego do porządku rodzimej szarzyzny.

I przeciwnie. Ze zdumieniem, ze swadą szeroko się mówi i dyskutuje, jeżeli ktoś postępuje rozumnie, świadomie, zgodnie z przyjętymi obowiązkami, w poczuciu konieczności i znaczenia pracy społecznej, obywatelskiej czy państwowej. Zasługa to chyba minionych lat niewoli, wojny i okupacji – one to tak wpłynęły, żeśmy duchem i sercem posunęli się po pochyłej.

Kiedy Rada Miejska zakwestionowała budżet szkoły polskiej głosami polskimi, kiedy odrzuciła całkowicie budżet „Kropki mleka”, kiedy zastanawiała się, czy sekretarzowi szkolnemu wystarczy obciąć kilka, czy kilkanaście tysięcy z jego 30-tyś miesięcznej pensji – wtedy w Węgrowie było cicho.

Dnia 12-go bm. Otrzymał się Sejmik Powiatowy Węgrowski. Sejmik, bez jałowych dyskusji, bez tępego uporu, uchwalił budżet w wysokości 364 prawie milionów na rok 1923. Dyskusja rozwijała się nie tyle nad wysokością preliminowanej sumy, ile nad koniecznością danego

wydatku, jego celowością, potrzebą. Sejmik posunął się dalej: zgodził się na ewentualny budżet dodatkowy w br., o ile się okaże, iż suma 364 milionów będzie za małą⁴:

Preliminarz budżetowy tak się przedstawia:

Nieuskutecznione wypłaty za 1922 r. – 22.191.103

1. Koszta administracji – 37.754.100
2. Komunikacja – 69.000.000
3. Gospodarka na Klimowiznie – 10.000.000
4. Zdrowotność i szpitalnictwo – 43.607.144
5. Rolnictwo, handel i przemysł – 12.110.000
6. Weterynaria – 100.000
7. Dobroczynność publiczna – 17.000.000
8. Szkolnictwo i oświata – 23.740.388
9. Pożarnictwo i cele kulturalne – 17.550.000
10. Bezpieczeństwo publiczne – 30.000.000
11. Wydatki nieprzewidziane – 14.710.944
12. Budowa szpitala i szosy – 65.000.000
13. Sumy przejściowe – 543.323

Razem – 364.000.000

I o tym posiedzeniu sejmiku dzisiaj się mówi, dziwią się Węgrowianie, że stało się tak, jak się stało. A mogło przecie tak być, jak w latach ubiegłych, a było zupełnie inaczej.

Miast obcinać budżet, sejmik w wolnych wnioskach uchwalił 2.400.000 na „Kroplę mleka” w Węgrowie i... trzynastą pensję dla urzędników komunalnych.

To ostatnie to już rzecz całkiem wychodząca poza ramy prawdopodobieństwa! Ci, którzy pracując, mają chleb, dali tym, którzy z pracy swej mają za dużo, by z głodu nie umrzeć... I o tym się mówi, jak o czymś, o czym mówić jest warto.

Samo posiedzenie Sejmiku nie obyło się jednak bez pewnych zgrzytów. Były próby opozycji; była chęć ze strony zwłaszcza jednego „ojca powiatu”, naruszyć i harmonię, i powagę zebrania. Okazało się, że obywatel ten chce zostać wójtem w swojej gminie. Musiał się przeto odznaczyć na Sejmiku przed specjalnie sprowadzonymi świadkami, ci ostatni mieli mu w gminie urobić opinię... boć u nas takie rzeczy bardzo łatwo się dzieją. W życiu społeczności wsi naszej gospodarska zasada, że „krowa, która duża ryczy, mało mleka daje”, w ocenie jednostek wybijających się na czoło, nie odgrywa jeszcze roli..., lecz to są drobnostki.

Nad tym wszystkim przejdzie się do porządku dziennego i Węgrowianin znowu zacznie się nudzić.

⁴ Wyrażana w markach polskich kwota z pewnością okazała za mała, gdyż w roku 1923 bardzo wysoka inflacja przerodziła się w hiperinflację. W maju tamtego roku bochenek chleba kosztował ok. 1000 marek, we wrześniu 16 tys., w grudniu zaś aż 96 tys. marek. W styczniu 1923 r. egzemplarz „Gazety Podlaskiej” kosztował 250 marek, na numerze zaś z 23 grudnia 1923 r. widnieje cena 30 tys. marek. W styczniu roku następnego za 1 dolara amerykańskiego płacono ponad 10 milionów marek. Chaos powstrzymała reforma walutowa Władysława Grabskiego z kwietnia 1924 r. i zastąpienie marki, polskim złotym. Wymiana nastąpiła w relacji 1,8 miliona marek za 1 złotego [przyp. aut. opracowania].

A nudzi się on szalenie. Jeżeli węgrowsianin czyta, to po miesiącu bibliotekę „Książka Polska” panny I. Z., już na pewno przeczytał. Bibliotekę parafialną zostawia sobie na czas wielkiego postu.

O gazetę tu trudno, bo i droga, i nie wiadomo skąd ją dostać. Zamówiona przez księgarnię nie zawsze przychodzi, z poczty też trudno odebrać ją w porę. Słowem, nie wiadomo, co robić z czasem i pomimo woli ludzie się nudzą. Nawet plotka i ta czasem już nudzi.

A więc gra się w karty: w winta, w preferansa, lecz najchętniej – w „wałę”. W wałę u nas grają nawet 5-io letnie dzieci! I to razem z rodzicami, zdaje mi się ku ich dumie, a chwale naszej węgrowskiej nicości.

Tak, kto nie zna naszych lokalnych warunków, mógłby powiedzieć: „wyrwij się człowieku choć na chwilę z Węgrowsa, pojedź sobie np. do Warszawy, rozerwij się”.

Lecz i w tym miejscu dla Węgrowsianina, poza dużymi dzisiaj kosztami, zaczynają się piętrzyć trudności. Proszę nie zapominać, że do stacji kolejowej Sokołów mamy 14 km, a do Łochowa 28 km. Drogę do kolei należy normalnie odbyć w tzw. „omnibusie”.

Dlaczego przedpotopowy ten wehikuł, w dwa liche konie zaprzężony, nazywa się „omnibusem” – tego nie potrafię wytłumaczyć.

Upewnić jednak mogę, że jazda w nim do rozrywek nie należy, a powabem i różnorodnością wrażeń, zaćmiewa wszelkie opisy mąk dzikiego średniowiecza. Taki „omnibus” nie ma na przykład określonej pojemności. Zabiera on do swego wnętrza wszystkich pasażerów niezależnie od ich ilości, tuszy, czystości, płci, wyznania i narodowości. Co się z pasażerami robi we wnętrzu tej karocy w czasie podróży, kto, na czym i na kim siedzi, kto co i komu odgniata, kto czym i komu oddychać każe, co, gdzie, w co i kogo gryzie w przeciągu szeregu długich godzin jazdy – to zupełnie i nikogo nie obchodzi, a najmniej już interesuje właściciela zaprzęgu omnibusem zwanego.

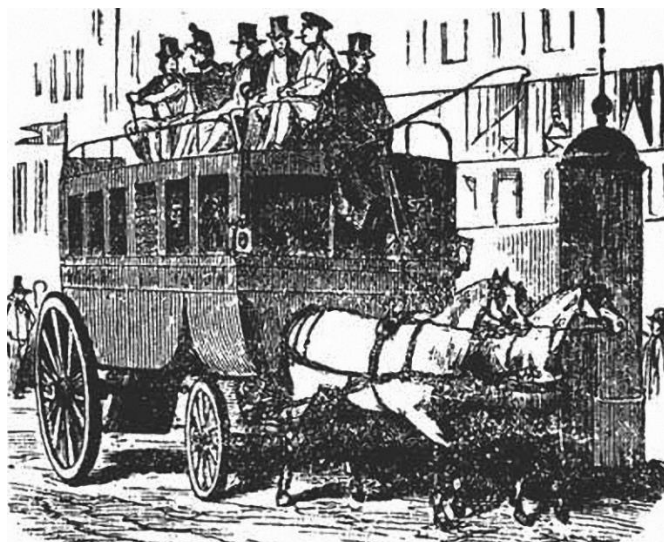
Po takiej podróży zwykły śmiertelnik ma dosyć nie tylko jazdy do światła i kultury, lecz po prostu życia.

Ma omnibus jednak i swoje zalety jako środek lokomocji. Niezależnie od pogody, drogi, spraw ekonomicznych państwa, koniunktur politycznych, pory roku i tem podob. ubocznych wpływów, nigdy się do pociągu – w przeciwieństwie do tego ostatniego – nie spóźnia. Przestrzega tylko przykazań Boskich i w święta nie jeździ, to znaczy, że w piątek i sobotę ani z Węgrowsa wyjechać, ani do Węgrowsa przyjechać nie można.

Tę ostatnią wzmiankę podaję do wiadomości naszych domorosłych antysemitów. Chcąc przyjechać w piątek czy sobotę do Węgrowsa, mogliby snadnie poprzeć „swoich”, o ile by się to im udało!

O szkolnictwie węgrowskim napiszę, kiedy indziej. Dziś chcę tylko zaznaczyć, że Węgrów w osobie nowego dyrektora gimnazjum sejmikowego zyskał solidną i poważną siłę pedagogiczną. W życie szkolnictwa naszego tchnął on swoją pracą nowego ducha, zyskując w coraz szerszych masach uznanie dla swoich poczynań.

Esbe



Omnibus konny.

Źródło: *Omnibus - Project Gutenberg eText 16943*, via *Wikimedia Commons*.

[„Wyzwolenie”, nr 3 z 18 stycznia 1925 r.]

Z powiatu Ostrowskiego na Mazowszu

Dnia 4 grudnia zeszłego roku w Ostrowi Mazowieckiej odbyło się ogólne zebranie członków ZPSL Wyzwolenie i Jedność Ludowa, na którym uchwalono, po nowym roku założyć Sekretariat Wyzwolenia. Czynny będzie w każdy dzień od godziny 11 do 2 i ½ po południu, oprócz niedziel i świąt. W sekretariacie będą załatwiane sprawy oświatowe, kulturalne i gospodarcze.

Na tymże zebraniu dokonano wyboru nowego Zarządu Powiatowego, w skład którego weszli: Paweł Michalik – prezes; Stanisław Mysiewicz – zastępca prezesa; Teofil Jabłonka – sekretarz. Członkami Zarządu zostali: Fr. Sierota, Bieliński, Kotowski, Młynarczyk, Kowalczyk, Dmochowski, Lipka, Zasłona i Rytewski. Do Komisji Rewizyjnej weszli: Janowski, Wójcik, Kruczyński. Postanowiono zorganizować wszystkie gminy i wioski oraz starać się, ażeby w każdej wiosce prenumerowano i czytano „Wyzwolenie”.

W Ostrowi w dniu 1 grudnia zeszłego roku zmarł ksiądz prałat Adam Koszutowski. Był to prawdziwy kapłan, prawdziwy dusz-pasterz, który nigdy i nikomu nie odmówił swej pomocy i rady oraz nikogo nie prześladował za czytanie „Wyzwolenia”. On jeden miał cywilną odwagę w naszej okolicy nie odprawić gloryfikacyjnego nabożeństwa za zbrojnego Niewiadomskiego [zabójca prezydenta Gabriela Narutowicza] i nie przyjął pieniędzy złożonych na ten cel przez tutejszą kołtunerię. To też z prawdziwym żalem i smutkiem wzięli udział w pogrzebie tutejsi Wyzwoleńcy i odprowadzili ciało na cmentarz do grobu. Cześć jego pamięci.

Uczestnik